

STEFANO TERRAZZINO

EWA ANNA BARYŁKIEWICZ

W CHMURACH
TANIEC, MOJE ŻYCIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Szymon Szwajger

Projekt okładki: Jan Paluch

Projekt typograficzny i skład: Adrian Partyka

Zdjęcie na okładce: archiwum prywatne Stefano Terrazzino

Autorka zdjęcia: Kat Piwecka

Zdjęcia: str. 6, 11, 12, 162, 163 — Radosław Kaźmierczak

str. 80, 190 — Renata Świdorska

str. 197 — Marta Machej

str. 230, 231, 235, 236, 245, 251 — WBF/ Polsat

str. 255, 258, 264, 268, 269, 271 — Maciej Zawada/Polsat

str. 319, 323, 324 — Ewa Anna Baryłkiewicz

Pozostałe zdjęcia: archiwum prywatne Stefano Terrazzino

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/wchmur>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8409-5

Copyright © Stefano Terrazzino, Ewa Anna Baryłkiewicz 2021

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Nie przestawaj szukać,
inaczej będziesz musiał polubić to,
co dostaniesz

Dla kochanych Rodziców,
którzy są moimi bohaterami
Stefano Terrazzino

SPIS TREŚCI

- 7 Un momento!
- 13 ROZDZIAŁ 1. Ale... Alessandro!
- 24 ROZDZIAŁ 2. Ten obcy
- 33 ROZDZIAŁ 3. Chłopiec w chmurach
- 44 ROZDZIAŁ 4. Raffadali. Włoskie lato
- 52 ROZDZIAŁ 5. Pałka, zapałka, dwa kije
- 61 ROZDZIAŁ 6. (Non?) Siciliano vero
- 69 ROZDZIAŁ 7. Seks, kłamstwa i kasety wideo
- 81 ROZDZIAŁ 8. Ciao, ciao bambina
- 93 ROZDZIAŁ 9. Włoskie dolce far niente
- 101 ROZDZIAŁ 10. Tańcowała igła z nitką
- 108 ROZDZIAŁ 11. Krawiec na baletach
- 119 ROZDZIAŁ 12. Teraz albo nigdy
- 130 ROZDZIAŁ 13. Mów mi „mistrzu”!
- 138 ROZDZIAŁ 14. Żule w taxi i inna stara śpiewka

151	ROZDZIAŁ 15.	Tańczący z gwiazdami
159	ROZDZIAŁ 16.	Warszawa (jednak!) da się lubić
173	ROZDZIAŁ 17.	Wypijmy za błędy, czyli „Cin Cin Amore”!
182	ROZDZIAŁ 18.	Dziękuję, nie tańczę!
198	ROZDZIAŁ 19.	Bo do tanga trzeba dwojga
211	ROZDZIAŁ 20.	„Let’s Dance” Germany! Czyli: jak pech, to pech...
225	ROZDZIAŁ 21.	Bo we mnie jest seks... czyli skutki uboczne tańca
239	ROZDZIAŁ 22.	Cicho(sz)...a! I koniec migania
253	ROZDZIAŁ 23.	Białe rozy w zębach Cesării Évory
273	ROZDZIAŁ 24.	Rodzina Violino
290	ROZDZIAŁ 25.	Canto cantare i Piękni Buntownicy
302	ROZDZIAŁ 26.	Sycylia, moja piękna
312	ROZDZIAŁ 27.	Don Stefano i jego sycylijska „mafia”
327	ROZDZIAŁ 28.	Powrót do korzeni
338		Koniec, czyli... nowy początek



UN MOMENTO!

Warszawa, plac Grzybowski, grudniowe popołudnie. Mróz daje się we znaki. W pustej kawiarence zamawiamy po dużym kubku zimowej herbaty — z pomarańczą, imbirem i miodem. Jednak bardziej rozgrzewa nas rozmowa. O Sycylii. Dzisiaj mamy wrócić tam po raz kolejny — tym razem do dziecięcych lat Stefano albo nawet i wcześniej. Niby od tego powinniśmy zacząć pracę przy książce, ale... czy o życiu da się mówić chronologicznie? Łapaliśmy wspomnienia barwne jak motyle w locie. Strzępki wielu niewykorzystanych wywiadów, długich rozmów telefonicznych, no i niezliczone godziny nagrań. Teraz pora je uzupełnić i umiejscowić w czasie i przestrzeni. Włączam więc dyktafon i nagle słyszę:

STEFANO TERRAZZINO:

Zaraz zaczniemy, już, ale powiedz: jesteś pewna, że to dobry pomysł? Kiedy umówiliśmy się na tę książkę? Ze dwa lata temu? Nie, dużo wcześniej! Przez cały ten czas spotykaliśmy się i rozmawialiśmy we włoskim tempie, powolutku. Zebrałaś już sporo materiału, bardzo się z tego cieszę, ale czasem dopadają mnie wątpliwości: „Czy kogoś w ogóle zainteresuje moje życie?”. Bo co ja tak niezwykłego robię? Tańczę, występuję w „Tańcu z Gwiazdami”. Ok, jeszcze śpiewam i jeżdżę po Polsce z zespołem. I od czasu do czasu zjawię się w telewizji w trochę innej roli, na przykład w programie „Twoja Twarz Brzmi Znajomo” albo w serialu. Ale czy to ma większe znaczenie? Jestem normalnym facetem, nie gwiazdą. I prowadzę zwykłe życie.

EWA ANNA BARYĘKIEWICZ:

Zero skandali i romansów. Ubolewam nad tym. Jak to sprzedamy!?

Ty tu żartujesz, a ja poważnie mówię — dla mediów jestem nudny! Kiedy stałem się znany, w sensie rozpoznawalny, jeździli za mną paparazzi, by zrobić mi „gorące” zdjęcia. Ale szybko odpuścili, bo ja biegnę z jednej pracy do drugiej. A biegnę, bo chcę. Bo kocham to, co robię.

To jest właśnie klucz do naszej rozmowy! Coś, co nazywasz roboczo „my way”. Stef, umówiliśmy się, że ma to być książka o drodze, którą pokonałeś, by być tym, kim teraz jesteś. Nie celebrytą, nie gwiazdą telewizyjną, ale mistrzem tańca, pasjonatem. Rozmawiamy o Tobie, ale i o ludziach, którzy Cię na tę drogę pchnęli, dając błogosławieństwo i kopniaka w tyłek na szczęście. O tych, którzy Ci w niej towarzyszyli, pokonując z Tobą życiowe zakręty i przeszkody. I o tych, którzy tylko wskazali Ci odpowiedni kierunek. Ta droga nie była łatwa ani nie do końca oczywista — i przez to jest właśnie tak ciekawa! Tak! Jestem pewna, że wielu Twoich fanów ona zainteresuje. Rozumiem jednak Twoje dylematy, bo sama przez chwilę byłam „skołowana” przez ludzi, którzy wtajemniczeni w sprawę przekonywali: „Książka? Za wcześnie! On jest jeszcze za młody. Takie rzeczy robi się na stare lata! Niech trochę pożyje!”.

A widzisz! Czyli jednak coś jest na rzeczy. No i co im odpowiadałaś? Tylko szczerze...

Że stary to akurat jesteś, bo „w tym wieku” tancerz przechodzi na zasłużoną emeryturę.

(wzdychając) Niestety, tak to już jest w naszym zawodzie...

A tak serio? Mówiłam: „Nie zgadzam się. Teraz jest najsilniejszy, bo już wie, kim jest. Jak chce żyć i pracować, co sprawia mu frajdę, a czego nie zrobi nawet za ciężkie pieniądze”.

To prawda.

„Nie musi już nikomu udowadniać, co potrafi. Nie tylko na parkiecie. Bo pokazał nam się jako aktor, wokalista, choreograf i kostiumolog. I choć nie we wszystkim jest perfect...”.

...bo nie jestem! Nie ma się co oszukiwać: trochę rzeczy mi w życiu nie wyszło. O, na przykład „Salon sukien ślubnych”, w którym byłem gospodarzem, albo show „Surprise, Surprise” (ten na szczęście szybko spadł z anteny). Nie czułem się w tym dobrze! Niepotrzebnie to brałem...

„...to doszedł do momentu, w którym BAWI SIĘ tym, co robi. Czerpie z tego przyjemność i satysfakcję. I może się swoją pasją i energią podzielić z innymi, zainspirować do działania”.

Prawda! Wszystko prawda! Po występach, kiedy ktoś mi gratuluje: „Ty masz taką pasję! Jak ja ci zazdroszczę. Też bym chciała tak tańczyć!”, odpowiadam: „No to próbuj! Idź na jakiś kurs, dziś jest tyle możliwości, taki wybór szkół i zajęć!”, i słyszę wtedy: „Nie... Nie mam czasu na takie rzeczy. Nie nadaję się do tego!”. Albo pytam kogoś: „A jaką ty masz pasję?”, na co ten ktoś się krzywi: „Ja? Żadnej”. Jak to?! Jak można nie mieć pasji? Dla mnie to niepojęte. Mówię wtedy takiej osobie: „Może ją masz, ale jeszcze o niej nie wiesz? Próbuj różnych rzeczy, poznaj siebie i świat. Wyjdź ze swojej strefy komfortu, bo tam, na zewnątrz, dzieją się MAGICZNE rzeczy”.

Jeszcze gorzej jest — moim zdaniem — mieć do czegoś smykałkę, ale zaprzepaścić swoją szansę. Mówi się: „Jeśli Bóg dał ci talent, to zrób z niego użytek. Bo inaczej ci go zabierze”.

Smutne, ale prawdziwe. Ja też mogłem się poddać. Nie miałem ani pieniędzy na taniec, ani nadziei na to, że będę z niego żył. Tyle że — o, widzisz! — nie myślałem o karierze, tylko o tym, że BARDZO chcę tańczyć. DLA SIEBIE. Dobra, zacznijmy rozmawiać. Mam nadzieję, że ta historia zainspiruje kogoś do działania — doda mu wiary w siebie i siły do walki o swoje marzenia. Trzeba żyć kreatywnie — to jest sens naszej książki. Tylko, proszę, bez cukrowania. Niech to będzie zwykła opowieść zwykłego chłopaka, który po prostu bardzo chciał tańczyć.

O to możesz być spokojny — nie zamierzam Cię gloryfikować. Co więcej: z pierwszego rozdziału mogę Cię nawet wykluczyć.

Jak to „wykluczyć”?! Teraz?! Już? Na samym początku?! No, nieźle się zaczyna... Nieźle!





ALE... ALESSANDRO!

To co, ruszamy w podróż przez Twoje życie?

Ruszajmy! Co proponujesz na początek? Skoro ma nie być o mnie...

Ma być o Tobie! Ale — niejako — bez Ciebie.

Teraz to dopiero mnie zaintrygowałaś! O mnie, ale beze mnie? Czyli...?

Przenieśmy się na Sycylię...

Szkoda, że tylko w wyobraźni, bo dziś tak zimno... Dokąd? Do mojego rodzinnego Raffadali?

Tak, ale do roku 1978, albo nawet ciut wcześniej.

Ale ja się urodziłem w '79, i to w Niemczech, w Mannheim! A, już teraz rozumiem, do czego zmierzasz. Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie! Moi rodzice dopiero co się poznali.

...i po raz pierwszy szeptali sobie: „Ti amo”.

Ojej, aż tak intymnie zaczniemy? Od „tych rzeczy”? (*śmiech*) No nie wiem... A jeśli kogoś zgorszymy? A tak serio: tylko nie mów, że chcesz, żebym tu zdradził kulisy mojego poczucia!

Właśnie chcę! Bo uważam, że jest w nich wszystko, czego nasi czytelnicy potrzebują, aby zrozumieć kim, jesteś i skąd pochodzisz. Silne korzenie,

tradycja sycylijska i geneza przeprowadzki Twoich rodziców do Niemiec, wasz ognisty temperament, diabelski upór i determinacja.

Hm... nigdy tak o tym nie myślałem. Ale gdyby połączyć fakty... (*Zapada cisza, Stef skupia się na wyciskaniu soku z pomarańczy, dodaje do herbaty miód, miesza*). Tak... coś w tym jest.

Poza tym to taka romantyczna historia, jak z filmu! Posłuchaj: dwa rody — Terrazzino i Giglio — sąsiadują ze sobą od lat. Nie bratają się wprawdzie, ale też nie są zwaśnione. Do czasu, kiedy ich dzieci — Giovannę i Antonio — połączy płomienna, młodzieńcze uczucie...

...przez które wybuchnie skandal w miasteczku i kłótnie w obu rodzinach. Masz rację, to jest gotowy scenariusz na film. Mogę go sobie nawet wyobrazić: słońce, błękitne niebo, palmy, sycylijskie plenery. I oni tacy młodzi, zapatrzeni w siebie... Piękny romans. Trochę jak „Romeo i Julia”.

Tyle że z happy endem. Opowiadaj!

OK, ale najpierw musimy nakreślić tło, bo tylko wtedy ta historia będzie w pełni zrozumiała. To były lata siedemdziesiąte: inna mentalność, styl życia, obyczaje i normy społeczne. Wówczas dziewczyna mogła się spotykać z chłopakiem (jeżeli oczywiście on miał wobec niej poważne zamiary) wyłącznie w sytuacji, kiedy rodzina dała jej na to pozwolenie. I pod warunkiem, że w czasie tej „randki” towarzyszyła im jakaś kobieta, najlepiej siostra albo kuzynka wybranki.

W charakterze przyzwoitki? W latach siedemdziesiątych XX wieku?!

Wiem, jak to brzmi... jakby to były lata czterdzieste albo jeszcze wcześniej. Ale pamiętaj, że mówimy tu o małym miasteczku na Sycylii. Na wyspie życie zawsze toczyło się (i nadal toczy) o wiele wolniej niż na kontynencie. Oczywiście, w sprawach damsko-męskich wszystko poszło do przodu. Kiedy miałem dwadzieścia lat (czyli tyle, ile mój tata, jak poznał mamę), umawialiśmy się ze znajomymi na plażę, a potem zabieraliśmy dziewczyny na tańce i bawiliśmy się razem. Za czasów jego młodości tak swobodne kontakty z płcią przeciwną były nie do pomyślenia. Młodzi ludzie wieczorem spotykali się, niby przy-

padkiem, na Piazza Na Fontana, a później spacerowali trójkami, trzymając się pod rękę: dziewczęta z dziewczętami, chłopcy z chłopcami. Jeśli ktoś wpadł komuś w oko, a widział, że druga strona podziela jego zainteresowanie, grupy zatrzymywały się obok siebie, po czym następowało formalne zapoznanie. Jeśli między nimi zaiskrzyło, chłopcy mogli zalecać się do wybranek, ale wyłącznie przy osobach trzecich.

Krępujące.

I to jak! Flirtowanie przy świadkach?!

Strażniczkach moralności raczej.

Straszne te zaloty musiały być. Sztuczne. (*śmiech*)

Ktoś musiał sprawdzić, czy adorator ma czyste intencje.

Ślub. Tak, o to tu chodziło! Bo kobieta na Sycylii — o czym traktują wszystkie nasze piosenki — miała w życiu tylko jeden cel: wyjść za mąż i urodzić dzieci. Nie marzyła o tym, żeby pójść do pracy i realizować się zawodowo. To też jest znak tamtych czasów! A mojej mamie wcale nie spieszyło się do zamążpójścia. Chciała skończyć szkołę, marzyła o studiach. Była inteligentna i zdolna, ale nie miała czasu na naukę... Jej mama chorowała i nigdy nie doszła do siebie po stracie trójki dzieci, a tata ciężko pracował, żeby ich jakoś utrzymać. Dlatego w wieku dwunastu lat moja mama musiała dorosnąć, zająć się domem i dwiema młodszymi siostrami. Jak tylko potrafiła, próbowała odciążyć rodziców. Pomagała we wszystkim. I właśnie w momencie, gdy dotarło do niej, że musi pożegnać się ze swoimi marzeniami o edukacji, poznała swojego tatę.

Spojrzała w czarne jak węgiel oczy przystojnego Antonio Terrazzino i... utonęła w nich.

Tak, całkowicie! Ale mój tata też od pierwszego spotkania wiedział, że spotkał miłość życia.

Jak się właściwie poznali? I gdzie? Na waszym głównym skwerze Piazza Na Fontana?

Hm, nie wiem. Może i tam...? A może w sklepie, na targu albo procesji? Rafadali jest małe, więc musieli się mijać latami. Zwłaszcza że ich domy dzieliły tylko dwie ulice. Ale w jakich okolicznościach zaiskrzyło? Muszę ich kiedyś o to zapytać. Może ktoś powiedział tacie, gdzie mieszka ta piękna, czarnowłosa Giovanna, a może znał jej adres? Wiem tylko, że nagle zaczął jeździć jakimś motorem czy skuterkiem przez Via Bellini. Czasami też spacerował godzinami pod jej oknami, żeby go tylko zauważyła, zainteresowała się nim. Bo wiesz, nie można było wtedy pokazać za dużo: ruchów, gestów, o słowach nawet nie wspomnę. W grę wchodziły tylko jakieś dyskretne spojrzenia i uśmiechy. Oczywiście mama domyślała się, że tata nie pojawia się na jej ulicy przypadkowo. „Ach, to chyba na mnie tak spogląda? Chyba mu wpadłam w oko?”, zastanawiała się. No, bo nigdy nie wiadomo, czy nie chodzi o sąsiadkę. (*śmiech*) Ale zawsze znajdowała sobie jakiś pretekst, żeby wyjść na balkon. A to pranie trzeba rozwiesić, a to zebrać, posprzątać. No, jak w filmie! A on chodził po tej ulicy, zatrzymywał się, patrzył... Tylko brakowało, żeby serenadę dla niej zaśpiewał.

I grał na mandolinie. A taki piękny obrazek by był...

Już go sobie wyobraziłaś? Wy, kobiety... Wiem, że to byłoby bardziej poetyckie, ale jednak...

Możemy trochę podkoloryzować.

Nie, nie śpiewał! A nawet gdyby, to na pewno się tego wyprze. Z drugiej strony... był młody, zakochany, mógł jakieś głupoty robić. Dobra, napisz: „Antonio PRAWIE śpiewał”. (*śmiech*)

Historia nabiera rumieńców. Co było dalej? Spotykali się potajemnie?

Takich detali to ja nie znam. Wiem tylko, że rodzice mamy nie chcieli, by się z nim związała. Ona domyśla się dlaczego, powiedziała nam kiedyś, ale... nie zdradzę tego tutaj. Zresztą ta jej teoria jest bez sensu. Może byli na „nie”

także z powodu różnicy wieku? Mama miała wtedy szesnaście lat, tata był o cztery lata starszy. Tak czy inaczej nie chcieli, żeby córka zadawała się z tym Terrazzino, i koniec. Pozostała im więc *fruitina* (od *fuggere* — uciekać). Po sycylijsku znaczy to, że prześpisz się z kimś. Stracić honor to straszna rzecz dla dziewczyny i wstyd dla jej rodziny. Wtedy bliscy muszą zaakceptować jej chłopaka. Bo jak była *fruitina*, on musi się z nią ożenić.

Jak zaliczą „wpadkę”, tak?

Nie, jak ona straci niewinność. A ciąża to już w ogóle! Ślub od razu. (*śmiech*) Wystarczy, że z kimś spałaś i już cię z tą osobą żenią, bo „czystość trzeba zachować do ślubu”. Tak wtedy było. Boże, to jest tak dalekie od naszego obecnego stylu życia... (*śmiech*) Pewnie gdzieś po cichu spotykali się na mieście, nie wierzę, że nie znaleźli sposobu. Ciocia Pippina, widząc, jak Giovanna przeżywa tę zakazaną miłość, jak strasznie jest nieszczęśliwa przez to, że nie może być z Antonio, postanowiła pomóc zakochanym. Zostawiła im klucze od swojego mieszkania i dała do zrozumienia, że mają trochę czasu dla siebie, bo ona wybiera się właśnie na długi spacer. I stało się! Pierwszy raz i... złoty strzał! Mama zaszła w ciążę. Kiedyś, kiedy wyszliśmy gdzieś razem, nagle zatrzymała się i pokazała: „Stefano, spójrz! O, to jest ten dom, w którym zostałeś poczęty”. (*śmiech*)

Wiadomość, że pojawisz się na świecie, zelektryzowała obie rodziny!

O, żeby tylko! Całe miasto! Ciąża u szesnastolatki to jednak rzecz kontrowersyjna nawet i dziś...

Posypały się gromy?

Były i gromy, i krzyki, i płacz! Ale stało się. Związek został skonsumowany. Musieli więc ten fakt zaakceptować. Moim rodzicom też nie było łatwo odnaleźć się w tej sytuacji. Byli bardzo młodzi, nie mieli za co żyć ani gdzie mieszkać. Nie mogli liczyć na wsparcie bliskich, bo tym się nie przelewało, ale zapewniali wszystkich: „Poradzimy sobie! Nie martwcie się”. Honor im nie pozwalał zostać w Raffadali. Nie chodziło o to, że chcieli uciec, aby jakoś wyciszyć skandal

z ciężką. Chcieli poukładać swoje życie na nowo. Tam niewiele mogli zmienić. Tata też rzucił szkołę, nie miał czasu do niej chodzić. Musiał pracować w polu, pomagać ojcu, bo żyli skromnie...

Wspomniałeś kiedyś, że zdarzało mu się sypiać w stajni, ze zwierzętami.

Tak było. Wracał zmęczony z pola, kładł się na chwilę na sianie, zasypiał... Mama też musiała porządnie napracować się, by ogarnąć dom i młodsze siostry. Może nawet w tym, co się stało, dostrzegła jakąś szansę na wyrwanie się z rodzinnego domu? Kiedy zaszła w ciążę, wiedziała, że muszą wyjechać nie tylko z Raffadali, ale i z Sycylii w ogóle. Tata też tak uważał. „Bardzo kocham tę ziemię. Tę wyspę. I zawsze Sycylię będę miał w sercu”, powiedział. „Ale nie chcę, żeby moje dziecko miało takie życie, jak my tu mamy. Chcę mu zapewnić lepszą przyszłość”.

Wzruszające...

Teraz, jak na to patrzę, myślę, że moi rodzice po prostu się dla nas poświęcili. Oni tak mocno są związani z tym miejscem... Nigdy by go nie porzucili, gdyby mieli tam pracę. Mogliby robić sery albo hodować kozy — pewnie byłiby tak samo szczęśliwi jak teraz, gdy prowadzą tawernę w Mannheim. A może jednak nie? Może nie wygrzebaliby się z biedy? Kiedy słucham, w jakich warunkach żyli, jest mi ich tak strasznie żal... A z drugiej strony widzę w tym sycylijskim życiu taką prostotę i rodzinność... Zawsze trzymają się razem. Potrafią cieszyć się z tak małych rzeczy. Doceniają wszystko to, co los im da. Piękne... Nie da się zmierzyć szczęścia, bo czym ono jest? Ktoś jest bardzo bogaty, może mieć wszystko, ale jest nieszczęśliwy, bo czegoś mu brakuje w życiu. Może jako dziecko nie był kochany? Może w związku coś mu się sypie? Ktoś inny nie ma pieniędzy, ale nie narzeka, bo głodny nie chodzi. Ma skromny dom, ale ktoś tam na niego czeka. I co rano budzi się szczęśliwy, bo ma cel. Rodzinę. Miłość. Coś, co daje mu siłę do życia. Ja widzę tyle piękna w prostym życiu! No, ale nie zaznałem nigdy biedy jak rodzice...



Vincenzo i ja czekaliśmy na siostrę, a tu niespodzianka: mamy brata, Marco!

Nie mieli pracy ani perspektyw na nią. Musieli jechać „za chlebem”.

Wszyscy znajomi mówili im: „Wyjedźcie gdzieś z tej wioski!”. Jako że brat taty mieszkał już w Turynie, na północy Włoch, tata, jeszcze zanim poznał moją mamę, czasem go odwiedzał. Kiedyś, gdy został tam dłużej, zrobił sobie krótką wycieczkę do Mannheim i poznał trochę to miasto. Wiedział, że tam przeniosło się wielu Sycylińczyków, że mają dobre warunki do pracy i życia, więc powiedział: „Słuchaj, Mała, jedźmy tam!”. I tak się zaczęło. Na początku było im bardzo trudno: zdani tylko na siebie, na obcym gruncie, bez znajomości

niemieckiego. Oboje tęsknili za Sycylią, za bliskimi. Ale tata tego nie okazywał: skupił się na szukaniu pracy, dzielnie znosił ból. A mama bardzo cierpiała. To był dla niej szok: nowy język, nowi ludzie, inna mentalność...

A dziwisz się? Młoda dziewczyna, rzucona na głęboką wodę — z „brzuchem”, przerażona pewnie tym, jak za chwilę poradzi sobie z niemowlakiem. Po raz pierwszy tak daleko od rodziny. W mieście (a nawet kraju), którego nie zna. Wśród ludzi, których nie rozumie...

Ale oni trzymali z Włochami, wiesz? W tej dzielnicy mieszkało dużo Sycylijczyków. Kiedyś się dziwiłem: „Dlaczego mama, mieszkając tam od tylu lat, nie mówi dobrze po niemiecku?”, a ona prawie wcale nie rozmawiała w tym języku. Nie musiała, bo nawet sklepy miała wokół domu sycylijskie. Tak jak Polacy w Londynie mają swoje sklepy, a w nich polski ser i polską kiełbasę, tak i ona z tatą kupowała wszystko od „swoich” ludzi. Trzymali się z nimi blisko, bo dzięki temu nie czuli się tu tak bardzo osamotnieni. I mieli większe poczucie bezpieczeństwa.

Namiastkę ojczyzny.

Tak. Ale ma to i złą stronę — nie otwierasz się na innych. Widzę, że tata jest znacznie bardziej zintegrowany z ludźmi niż mama, bo musiał przełamać barierę językową, wyjść z inicjatywą, znaleźć pracę itd. A mama zajmowała się głównie domem, więc... Początki, jak już mówiłem, mieli trudne. Wzięli jakieś kredyty na pizzerię, która nie wypaliła. Popełnili dużo błędów...

Od razu myśleli o tym biznesie?

Tata początkowo pracował na budowach. Potem wymyślili z mamą, że będą robić pizzę (skąd im się to wzięło?!), bo tak dobrej jak na Sycylii to nigdzie w Mannheim nie ma, więc będą bezkonkurencyjni. No i nakupowali maszyn, na które zaciągnęli duży kredyt, otworzyli budkę z pizzą na wynos i... zostali z długiem, bo interes się nie kręcił. Dostali nauczkę. A tata musiał zaczynać od zera. Pracował w różnych knajpach, stał na zmywaku, sprzątał blaty i stoły, ale też robił sałatki. Kucharz zauważył, że jest w tym kreatywny, więc czasem dawał mu ja-

kieś trudniejsze zadania, a tata szybko uczył się gotować. Wykazywał się talentem kulinarnym. Przygotował coś parę razy i... awansował. Przeszedł trudną drogę: od pomocnika kuchennego, przez głównego szefa, aż do... właściciela tej restauracji! Wszystkiego nauczył się sam! Po kilku latach uznał, że już czas, by wystartować z własną pizzerią. To było drugie podejście, więc miał pewne doświadczenie. No i powoli, powoli ruszyło. Ale dopiero kiedy skończyłem piętnaście lat, restauracja zaczęła pracować pełną parą, a rodzice wreszcie poczuli się w Niemczech bezpiecznie. A że pracowali w niej do nocy, to ja musiałem dbać o Vincenzo i niańczyć Marco, który się urodził, gdy miałem dwanaście lat.

Hola, hola!

Co?! Za bardzo wybiegłem w przyszłość?

Tak jakby. Masz już piętnaście lat. I dwóch braci. A w naszej opowieści jeszcze się nie urodziłeś.

A, no tak, jeszcze mnie nie ma, zapomniałem. (*śmiech*) OK, to co teraz chciałabyś usłyszeć?

Gorącą jak słońce Sycylii historię o tym, jak dziadkowie powitali Cię na świecie. Wiele lat temu wyznałeś „Vivie!”, że przyjechali do szpitala i nad łóżeczkiem „urządzili awanturę we włoskim stylu, z krzykami, lamentami i rzucaniem kłątów”. Mocne wejście miałeś...

Powiedziałem: „z lamentami i rzucaniem kłątów”? Serio? Boże, jakim ja byłem lekkoduchem!

Skoro i tak poszło to w eter, rozwińmy wątek. Pokazuje dobitnie: tradycja — rzecz święta.

To prawda. Moi rodzice byli młodzi, chcieli się trochę odciąć od tej tradycji, żyć po swojemu, bardziej „na czasie”. „Świat się zmienia. Dajmy mu jakieś współczesne imię, co? Alessandro bardzo mi się podoba”, powiedziała pewnego razu mama. Tacie też się spodobało, więc... tak mnie nazwali. A ponieważ nie byli jeszcze małżeństwem, to zostałem zapisany w papierach pod panięńskim na-



Moi rodzice byli młodzi, chcieli się trochę odciąć od tradycji sycylijskiej. Dali mi modne imię: Alessandro. Niestety, długo się nim nie cieszyłem...

zwiskiem mojej mamy — Alessandro Giglio. Bardzo ładnie, prawda? Nazwisko jest krótkie, ale mocne. Alessandro Terrazzino już nie brzmi tak dobrze, bo ma za dużo podwójnych liter i jest za długie. Tak czy inaczej byłem Alessandro. Ale tylko przez kilka godzin. Do momentu, aż przyszła mnie zobaczyć babcia, mama mojego taty: „Co to jest?“, oburzyła się. „Co to za imię? Alessandro? To ma być jakiś adwokat?! My jesteśmy prostymi ludźmi! I mamy imiona po przodkach!”, tak sprowadziła wszystkich na ziemię. Rodzice próbowali postawić na swoim, ale dziadkowie powiedzieli, że nie będą ich wspierać. I wymusili na nich zmianę. No, to nie było fajne... Ale w zgodzie z tradycją. I tak oto zostałem nazwany Stefano. Stefano Alessandro Terrazzino.

Stefano Terrazzino też brzmi nieźle, przyznaj! Dostałeś imię po dziadku ze strony taty?

Tak, tam mężczyzna w hierarchii stoi wyżej... Później, kiedy mama urodziła drugie dziecko, powiedziała: „Jeżeli już zaczęliśmy tradycję, drugi syn będzie jak mój tato”. (*śmiech*)

Vincenzo.

Tak, ale trzeci już nie miał po kim wziąć imienia i został nazwany Marco. Jak my mu zazdrościliśmy!

A teraz? Jak na to patrzysz?

Przez całe lata myślałem: „Jak można kogoś zmusić, by działał wbrew sobie?! Skoro rodzice chcieli odciąć się od tradycji, mieli takie prawo”. Teraz, gdy jestem starszy, rozumiem moich dziadków. Przychodzi czas, że zastanawiasz się, kim jesteś tak naprawdę — dlaczego jesteś właśnie taki, a nie inny? Możesz to odkryć tylko wtedy, kiedy wiesz, skąd pochodzisz, gdzie są twoje korzenie. Wtedy rozumiesz siebie, swoje zachowanie, nawet to najdziwniejsze, jakieś tiki czy schizy, lepsze i gorsze cechy, wszystko. Teraz inaczej odbieram swoje imię. Może też dlatego, że jestem w Polsce? Tu także daje się dzieciom imiona po przodkach. Z kolei teraz na Sycylii ludzie wymyślają im coraz dziwniejsze — jak Noara albo jakieś inne, brazylijskie. Co ma to wspólnego z naszą kulturą? Teraz, jak o niej myślę, widzę, że moje „starodawne” imię jeszcze mocniej mnie z nią wiąże. Wiele lat myślałem, że jest niemodne, wręcz obciachowe. A jest przecież piękne! I jeżeli będę miał dzieci, też dam im stare, sycylijskie imiona. Antonio — po moim tacie. Antoś po polsku. I Giovanna. Albo Maria, bo tak moja mama ma na drugie.

TEN OBCY

„Mam trzy latka, trzy i pół. Brodą sięgam ponad stół” — ten beztroski czas dzieciństwa znamy tylko ze zdjęć, do których najbliżsi dopowiadają nam różne historie. Sami nie mamy chyba wielu wspomnień. I pewnie tylko za pomocą hipnozy udałoby się je wydobyć.

Zamierzasz mnie zahipnotyzować? Teraz? Tu, w tej kawiarni? (*śmiech*)

Aż takich zdolności nie mam, ale... pomedytować możemy, nie? Zamknij oczy. Skup się. Przypomnij sobie tego małego Stefcia. Może zjawi się jakiś flesz z tego czasu, jakaś migawka...

OK. (*Stef zamyka oczy, siedzimy w ciszy*). Nie, nic! A czekaj! Jest! Pizzeria. (*rozkręca się*) Taki wycinek mi się przypomniał: jestem na dole i gram na trójkacie. Byłem wtedy malutki i (pamiętam!) bawiłem się tam sam. A skoro nie było jeszcze Vincenzo, musiałem mieć jakieś trzy, może cztery lata. Pizzeria była na górze, a pod nią magazyn, w którym stały wielkie zamrażarki wypełnione kurczakami. Pośród tego wszystkiego leżały moje zabawki. Rodzice pracowali na górze, mnie zostawiali na dole i tam w coś grałem, oglądałem książeczki. Później szedłem do nich, siadałem przy stole, dostawałem trochę ciasta na pizzę i coś sobie z niego lepiłem. Jak to dziecko, które ma dużo fantazji: tu dodałem trochę ciasta, tam więcej sosu. Budowałem duży dom otoczony wielkim płotem, a jak „materiału” miałem więcej, to i całe miasto. Tylko takie luźne obrazki pamiętam. To ciasto było moją najlepszą zabawką! Często się nim bawiłem, bo było tanie i zawsze pod ręką. I dobrze, że je wykorzystywałem

do takich celów. Trzeba dziecku pozwolić na to, żeby dało upust fantazji. Moi rodzice to robili. Może nieświadomie...

Przez pięć lat byłeś jedynakiem. Ich oczkiem w głowie.

Nie tylko ich, całej rodziny. Pierwszy wnuk! Duma dziadków!

Co jeszcze wbiło Ci się w pamięć z wczesnego okresu dzieciństwa?

Pamiętam, jak mama zachorowała, dość poważnie. Miałem wtedy pięć lat. Tata pracował, nie miał kto się mną zajmować, więc musiałem pojechać na Sycylię, do ciotki Angeli. Chyba z pół roku u niej byłem, jak nie więcej. Ale mimo że bardzo tęskniłem za rodzicami, czułem się tam szczęśliwy. Od małego kochałem tę moją Sycylię... Pamiętam, jak chodziłem do przedszkola. Miałem niebieski uniform, taki z białym kołnierzykiem, i torbę. Wyglądałem jak każdy sycylijski przedszkolak, ale... i tak wiedziałem, że jestem „ten obcy”. (*milczenie*) Od dziecka wszędzie czułem się obcy. W Niemczech mówili o mnie: „Ten Włoch”, tam też byłem inny od rówieśników. Na Sycylii słyszałem, że jestem Niemcem, mimo że mówiłem bardzo dobrze po sycylijsku, bo to był mój pierwszy (i jedyny wtedy) język. Dzieci są okrutne... Ale miałem też przyjaciół. Tych prawdziwych, na dobre i na złe. Do dziś jestem z nimi blisko. Dlatego tak dobrze się tam czułem i do tej pory myślę, że tam jest mój drugi dom. Moi bracia nie mają już takiego sentymentu do Sycylii ani tak silnego z nią związku. No, ale oni tam nigdy nie żyli...

Spróbuj przywołać jeszcze jakieś obrazy...

O, wiesz, co było fajne? Że w lecie jechaliśmy na Sycylię, a na święta przyjeżdżali do nas rodzice mamy i jej siostra Angela. Cały czas była więc obecna w moim życiu Sycylia, w domu ciągle stały walizki. W Niemczech gnieździłiśmy się na pięćdziesięciu metrach kwadratowych i na tej małej przestrzeni, w okresie bożonarodzeniowym, musiało się zmieścić sześć osób, w tym pięcioro dorosłych. Byliśmy ściśnięci, osaczeni, co chwilę ktoś na kogoś wpadał, ale ta bliskość miała swój urok. I mocno nas wiązała... Dlatego teraz nie lubię dużych mieszkań, przytłaczają mnie swoim metrażem, ale i pewną anonimowością,

chłodem. Wolę, jak jest ciepło, przytulnie. Co jeszcze pamiętam z tych lat? Jak chodziliśmy całą rodziną na pole, do pracy. Jak zbieraliśmy pomidory i później robiliśmy z nich przeciera. Bo na Sycylii — zresztą nie tylko tam, w Polsce chyba też — latem przygotowuje się mnóstwo passaty pomidorowej, żeby wystarczyła na cały rok. I to był prawdziwy rytuał. Jak ja go kochałem! Od małego nie mogłem się go doczekać.

Jak to dzieciak! We wszystkim musi umoczyć palce. Ale więcej przeszkadza, niż pomaga.

Ja naprawdę pomagałem! I byłem tym taki podekscytowany... Miałem nawet swoje zadania.

Tylko nie mów, że pamiętasz całą produkcję.

Pewnie, że pamiętam! Chcesz przepis? (*śmiech*) Najpierw przygotowywaliśmy butelki, czyli myliśmy je, a potem gotowaliśmy w wielkiej metalowej bańce (w jakiej trzyma się na Sycylii benzynę), żeby je wysterylizować we wrzątku. Robiliśmy to przed domem, zawsze o czwartej nad ranem. W ciągu dnia było za gorąco, żeby pracować, a co dopiero stać przy ognisku. Kiedy szkło było sterylne, wychodziliśmy wszyscy na kilka godzin w pole zbierać pomidory. Potem myliśmy je i gotowaliśmy w wielkim garze. A jak już były miękkie, dodawaliśmy sól i bazylię i długo mieszaliśmy drewnianymi łyżkami, a potem przecieraliśmy je przez sito. I taką przetartą, gładką passatę wlewało się do zimnych butelek — to było właśnie moje zadanie — a na koniec zakręcało się butelki i raz jeszcze zanosilo się do gotowania, w celu konserwacji. To wszystko trwało trzy dni — od rana do nocy — i mocno nas integrowało. Cała rodzina była w to zaangażowana.

I przez te trzy dni cały dom pachniał pomidorami...

Tak, a skóra swędziała. (*śmiech*)

...a na stole lądowało tylko spaghetti al pomodoro.

My codziennie jedliśmy pastę. Czasami z salciccią, czasami tylko z bazylią, ale dzień w dzień był makaron z passatą. Pomidor to na Sycylii najważniejszy

składnik, baza wszystkich dań. I nigdy nam się nie nudzi! O, wiesz, co mnie nudziło, jak byłem mały? Jak za długo byliśmy w polu. Siadałem wtedy między grządkami i lepiłem z ziemi domki albo zamki. Zawsze lubiłem manualne zabawy, odpływałem przy nich. Teraz, jak ci o tym mówię, tyle rzeczy mi się nagle przypomniało... Pamiętam, jak kogut (może kura?) zaatakował mnie i tak podziabiał, że pociekła mi krew. Pobiegłem zapłakany do cici. „Który to był?”, spytała. „Ten”, wskazałem. A ona go złapała i... ciach! Skręciła mu kark. Aż zaniemówiłem. Od razu pożałowałem, że jej o tym powiedziałem. Szkoda mi było tego koguta. Zobacz, takie rzeczy zapamiętałem — bardzo silne, traumatyczne i... związane ze śmiercią. Pamiętam też, jak dziadek świnie szlachtował. I że później robili z tej ciepłej krwi sos albo sanguinaccio, coś w rodzaju waszej kaszanki. Od tamtej pory nie chciałem już jeść zwykłego sosu pomidorowego, bo myślałem, że i w nim jest ta świńska krew. To było okropne, bardzo to przeżyłem. Musiałem mieć wtedy ze cztery lata.

Dla takiego malucha musiał to być prawdziwy szok.

Tak. Pamiętam też śmierć mojego dziadka, Stefano... Trzy momenty z tego dnia. Jego leżącego na łóżku, ludzi siedzących dookoła i babcię, która „biegała” i machała chusteczką, odganiając muchy, i tak lamentowała, tak krzyczała... Musiałem podejść do dziadka i się z nim pożegnać. To było mocne przeżycie. Drugi obraz — moja ciocia (a jego córka, wtedy szesnastoletnia), której puściły nerwy. Zamknęła się w łazience i strasznie płakała, a wszyscy się do niej dobijali. I ta trzecia odsłona — ja na zewnątrz, bawiący się. Tata kupił mi takie śmieszne gumki (wszystkie dzieciaki chciały je mieć!) i sprawił mi tyle radości! A że w domu nie mogłem się bawić, to...

Obraz trochę jak z „Ojca Chrzestnego”: tu lament i żałoba, a tam zabawa i śmiech...

Jak to w życiu. A na Sycylii te kobiety w czarnych, długich sukniach są tak bardzo filmowe...

Myślisz, że jesteś podobny do dziadka Stefano? Jest coś, co — poza imieniem — was łączy?

Właściwie nic o nim nie wiem. Nie zdążyłem go poznać, bo miałem pięć lat, gdy zmarł. Mam w pamięci tylko dwa obrazy z nim związane. A ten drugi... też był dla mnie przykry. Któregoś dnia odkryłem, że kupił mojej kuzynce rower. Widziałem przez uchylone drzwi, jak jej go dał, i zacząłem strasznie płakać, bo dla mnie nie miał takiego prezentu. Byłem rozczarowany. I to uczucie już we mnie zostało. Niesamowite, nie? Miałem niecałe pięć lat! I pamiętam swój żal, że jej kupił, a mnie nie. Uciekłem stamtąd prosto do drugiej babci, czyli te dwie ulice (zatrzymywaliśmy się zawsze w domu rodziców mojej mamy, gdy przyjeżdżaliśmy na lato, bo oni mieli więcej miejsca), wpadłem do pokoju z takim płaczem... „Co ci się stało? Dlaczego płaczesz?”, spytał mnie dziadek Vincenzo. „No bo dziadek Stefano to...” i opowiedziałem mu całą historię, całą swoją tragedię, zalewając się łzami. I wiesz, co wtedy zrobił? Kupił mi rower! I dał mi go kilka dni później. To było tak silne przeżycie! Do dziś pamiętam te emocje.

Wiem od Angeli, Twojej cioci, że dziadek Vincenzo bardzo Cię lubił i — na swój sposób — faworyzował. Zabierał Cię czasami na Piazza Na Fontana, gdzie spotykał się z kolegami.

Tak, chwalił się mną, cieszył... Najbardziej lubiłem przychodzić z nim na ten plac, kiedy było włoskie święto Matki Boskiej. Tego dnia w kościele odbywały się wielkie uroczystości — było dużo ludzi, nie tylko z Raffadali, ale i okolic, procesja, kramarze z zabawkami. Siadywaliśmy z dziadkiem na ławce pod drzewem. Gdy msza w kościele się skończyła, wszyscy zbierali się na placu, aby oglądać pokaz sztucznych ogni. Do dziś pamiętam odgłosy petard! Te wybuchy płoszyły ptaki, siedzące na drzewach. Przestraszone wzbijały się całymi chmarami, a ja nigdy nie zdążyłem przed nimi uciec, więc... wiadomo. Całe ubranie miałem upstrzone ptasią kupą.



Dziadek Vincenzo był dumny z każdego wnuka, chwalił się nami, cieszył...
Tu z moim bratem Marco

We Włoszech to akurat dobra wróżba! Mówicie, że ptasie kupa przynosi wam szczęście.

Właśnie... Może dlatego teraz mam tyle szczęścia w życiu? Przez te tysiące ptaków! (*śmiech*)

A wracając do dziadka Vincenzo... Pewnie pękał z dumy, gdy pojawił się na świecie jego imiennik?

Tak! Ale mój brat, tak samo jak ja, dostał też drugie imię. Mama zaszła w ciążę niedługo po chorobie. Bała się o dziecko, czy będzie rozwijać się prawidłowo. W modlitwie oddała je pod ochronę świętemu Salvatore. Złożyła obietnicę, że jeśli urodzi się zdrowe, nazwie je jego imieniem.

Typowe imię na Sycylii. Tam co drugi mężczyzna to Salvatore!

Tak, bo to jest nasz Jezus. Zbawiciel. Od *salvare* — zbawiać. W wielu latynoskich krajach, nie tylko na Sycylii, chłopcy dostają na drugie imię Maria. Kiedy byłem mały, bardzo mnie to śmieszyło. Ale mama modliła się nie do Marieto, a Salvatore. I urodził się Vincenzo Salvatore.

Pamiętasz tę chwilę, kiedy przywieźli go ze szpitala? Taką drobinę zawiniętą w becik?

No pewnie! Byłem taki szczęśliwy, że już nie jestem jedynakiem! Od razu chciałem nosić go na rękach (i pozwalali mi!), pomagałem go ubierać, kąpać. Zawsze byłem takim bratem, który jest obecny. Troszczyłem się o niego, bo od tej pory to on był w rodzinie „tym małym”. (*śmiech*) Mama zaczęła nas ubierać tak samo, jak bliźniaki. Mówiła, że fajnie to wyglądało. Ale czy ja wiem...? Vincenzo i ja wcale nie byliśmy do siebie tacy podobni. Teraz, na „stare lata”, może bardziej się do siebie upodabniamy, a może po prostu dostrzegam więcej wspólnych cech, ale jak patrzę na najmłodszego, Marco, to... czasem się czuję, jakbym stał przed lustrem! Wykapani bracia!

Jak na pięciolatka byłeś wyjątkowo poukładany.

Tak, spokojny, cichy, chętny do pomocy.

I zawsze „do rany przyłóż”? Nie łobuzowałeś?

Nie. Zawsze byłem grzeczny.

Dlatego że byłeś najstarszy?

Czy ja wiem...? A jaki to ma związek z wiekiem moim i rodzeństwa?

Ja od najmłodszych lat słyszałam: „Jesteś najstarsza z trójki, musisz być mądrzejsza”.

Mnie nikt tego nie mówił: ani rodzice, ani dziadkowie. Nigdy też nie cisnęli, że powinienem być bardziej odpowiedzialny. Miałem zakodowane w głowie: „To jest mój brat, muszę się nim zająć” — i to było dla mnie tak naturalne... Gdy wychodziłem na podwórko, zabierałem go ze sobą, opiekowałem się nim jak prawdziwa niańka. (*śmiech*) I to na niego trzeba było ciągle uważać, nie na mnie. O, Vincenzo był małym łobuziakiem, cały czas coś broił, obijał się itd.

Tym podwórkiem, na którym bawiliście się od rana do nocy, była... ulica — via Bellini. I tam mieszkał Twój najlepszy przyjaciel, który — jakżeby inaczej! — ma na imię Salvatore.

Nie, tam mieszkała jego babcia. Ale kiedy przyjeżdżałem do Raffadali, był u niej codziennie.

...i u Twojej też. Salvo Barbaro należy już do waszej rodziny. Zacie się z przedszkola?

Tak. Aż trudno uwierzyć, że nasza przyjaźń trwa już prawie czterdzieści lat! I nasza więź pogłębia się z wiekiem. Poznajemy w życiu miliony ludzi, ale oni przychodzą i odchodzą na jakimś etapie. A czasami pojawia się ktoś i zostaje. I jest! Wiesz, co jest fajne w naszej relacji z Salvatore? Że kiedy się spotykamy, nie gadamy o swoim życiu. Ja dziś robię to i to, on tamto, ze szczegółami. Nie! Po prostu jesteśmy. Wiem, że mogę na nim polegać. Zawsze! Czegokolwiek bym potrzebował — mogę śmiało go o to prosić. Jeśli miałbym problem — od razu przyleciałby z pomocą. I odwrotnie! To jest naprawdę wyjątkowe, że udało nam się zbudować tak głęboką więź. Byliśmy mali, daleko od siebie,

rzadko się widywaliśmy... a mimo to nasza przyjaźń przetrwała! I jest w niej ta sama moc! W Niemczech nigdy nie miałem przyjaciół ani nawet bliskich znajomych. Czemu? Nie wiem. Może byłem zbyt zamknięty w sobie? A może problem tkwił w czymś innym...? Przecież tu, w Polsce, mam przyjaciół i nawiązałem sporo relacji, które śmiało mogę nazwać bliskimi. Może jest to zatem związane z mentalnością? To, co wyniosłem z domu, bardziej kleiło się z tym, jacy są Włosi i Polacy? Bo w Niemczech przez cały czas czułem się obcy. Obcy, któremu nie udało się do nikogo zbliżyć. Choć nie! Miałem kolegę. Ale to nie był Niemiec, tylko Włoch...

Zaraz o nim opowiesz. Skoro już wróciliśmy do Niemiec, zajrzyjmy do Twojego domu...

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Sycyliczyk, krawiec, tancerz, śpiewak, reżyser teatralny, człowiek inspiracja

Stefano Terrazzino. Znacze go z pewnością jako tancerza i osobowość telewizyjną. Odkąd pojawił się w *Tańcu z gwiazdami*, jest obecny na naszych ekranach. Jego taneczne partnerki mogą być pewne, że Stefano ich nie zawiedzie. Zawsze (w przenośni i dosłownie) mogą się na nim wesprzeć.

Jednak jego droga do gwiazd i serc Polek wcale nie była prosta. Z zawodu Stefano Terrazzino jest... krawcem teatralnym. Tańczyć zaczął dopiero w wieku szesnastu lat — bardzo późno — i nie po to, by zostać kimś sławnym, a raczej by przełamać wreszcie chorobliwą nieśmiałość. Taniec okazał się jego żywiołem, jego życiem, jego przepustką z Mannheim, gdzie się urodził i wychował, przez słoneczną Sycylię do chłodnej i, wydawałoby się, mentalnie niezwykle odległej Polski. A jednak to właśnie tu, w Polsce, tancerz rodem z gorącej wyspy znalazł swoje miejsce. Tu tańczy, śpiewa ze swoim zespołem, reżyseruje spektakle, gra w teatrze, tworzy choreografię. Na Sycylię chętnie wraca — i zaprasza na nią nasze rodaczki. Wraz z Pauliną Biernat uczy swoje podopieczne tańczyć, z kolei z mamą Giovanną podpowiada, jak gotować w przepysznym włoskim stylu.


Jeśli chcecie się dowiedzieć więcej o życiu i karierze Stefano Terrazzino, koniecznie sięgnijcie po tę niezwykle szczerą opowieść, powstałą na podstawie rozmów, które z jej bohaterem przeprowadziła Ewa Anna Baryłkiewicz.

PATRON MEDIALNY:



 **editio**

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:
ebookpoint

